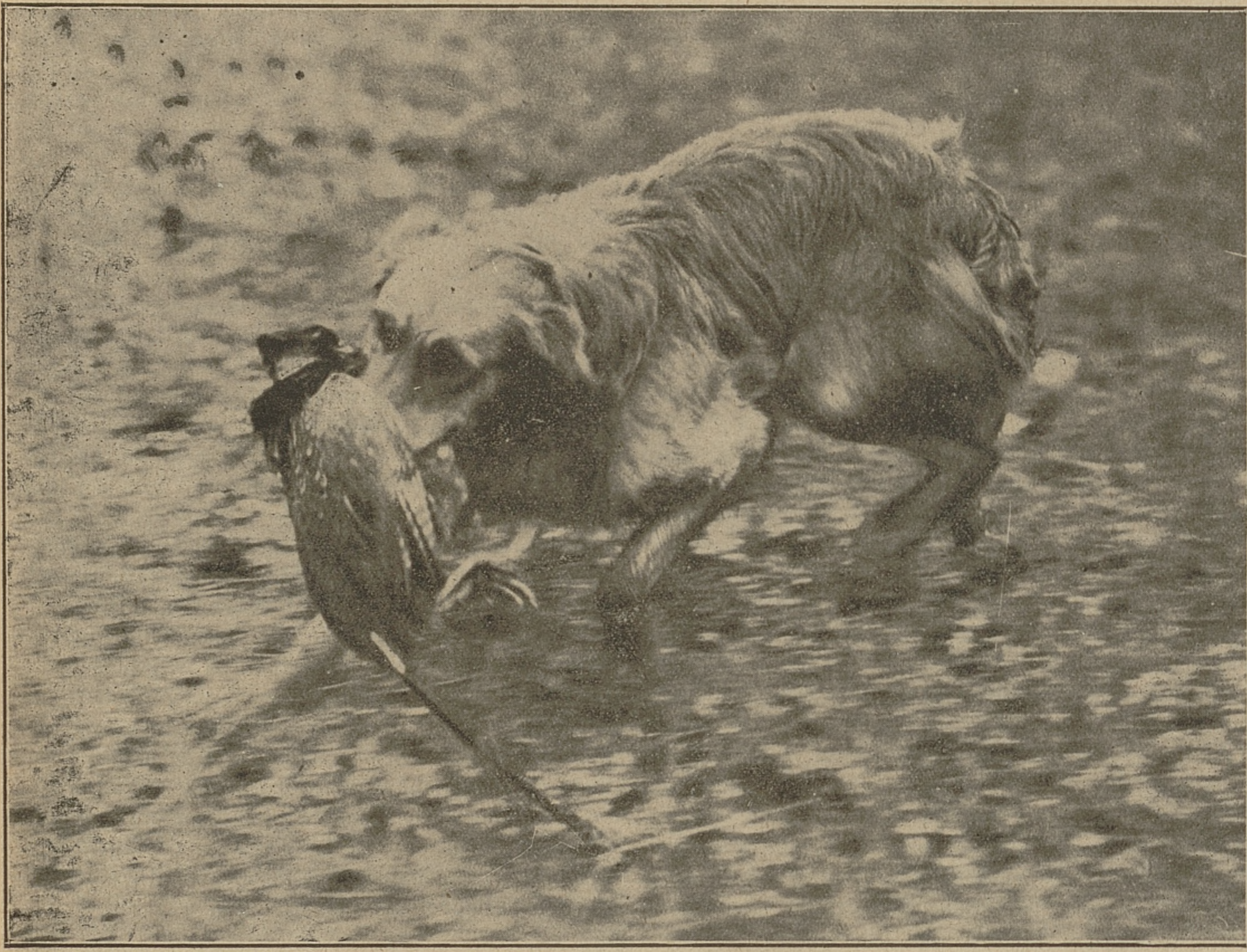
Nowe horyzonty myśli łowieckiej.

Nowoczesne łowiectwo roztaczając ochronę przyrody na wszystkie zwierzęta łowne rozwaliło tem samem odwieczny mur chiński, dzielący zwierzynę na pożyteczną i szkodliwą.

Przeszedł do przeszłości jeden z utartych komunałów, który jeszcze na początku obecnego stulecia uporczywie wpajano ogółowi łowieckiemu. Etyka myśliwska zrobiła śmiały krok naprzód i słowo „tępić“ zostało raz na zawsze skreślone ze słownika prawidłowych myśliwych. Jest to zdobycz ostatniego roku — świadcząca chlubnie o nieustannym postępie naszej myśli łowieckiej,

Podział zwierzyny na bezwzględnie szkodliwą i użyteczną był nonsensem nietylko przyrodniczym, ale i logicznym. Łowiectwo przeszło nad nim do porządku dziennego.

Istnieje jeszcze jeden podział dziś niesłuszny, jeszcze jeden przeżytek dziś bezsensowny, który należałoby jaknajprędzej z naszych myśliwskich pojęć usunąć. Chodzi mi o podział zwierzyny na szlachetną i nieszlachetną, na grubą i drobną, o podział myślistwa na wyższe i niższe łowy. Podział ten dawniej historycznie uzasadniony dzisiaj stał się najzupełniej dowolnym i nie mającym żadnej podstawy.



Dawniej rozróżniano prawnie łowy królewskie, łowy szlacheckie i polowanie chłopskie, obejmujące zwierzynę, na którą wolno było polować książętom panującym, szlachcie lub chłopom. Dawniej rozróżniano prawnie zwierzynę królewską — będącą pod opieką króla, zwierzynę szlachecką, na którą wolno było polować szlachcie i zwie-

rzynę nie-szlachetną chwytaną w sidła i pułapki przez kmieci.

Wielkie łowy na początku dziejów naszych obejmowały dziki i jelenie, niedźwiedzie i daniele, sarny, łosie, bobry, zaś małe łowy — lisy, cietrzewie, kuropatwy, przepiórki i kwiczoły.

Z chwilą demokratyzacji łowiectwa demokratyzacja zwierzyny jest nieodzowną koniecznością. Podział jej bowiem na szlachetną i nie-szlachetną prawnie ani przyrodniczo nieumotywowany, niejednolity i nieuzgodniony jest takim samym absurdem, jak podział łowiectwa na wyższe i niższe.

Podział ten jest niejednolity i nieuzgodniony, ponieważ oparty na różnych, rozbieżnych nieraz czynnikach i ulegający ciągłym zmianom historycznym. Każdy niemal pisarz inny wprowadza podział, co tworzy niepotrzebny zupełnie zamęt w pojęciach łowieckich.

Kurowski do wyższych łowów zaliczał jelenia, żubra, niedźwiedzia, łosia, daniela, sarnę, dzika, wilka, dropia, głuszca, cietrzewia, jarząbka i bażanta. Do niższych łowów między innemi zaliczył bobra, rysia i żbika. Dlaczego?

Dietzel do wyższych łowów zaliczając bażanta, do niższych liczy wilka, żbika, lisa i sarnę. Dlaczego?

Niektórzy pisarze wprowadzają podział trzyrzędowy na wyższe, średnie i niższe łowy zwiększając w ten sposób chaos jeszcze bardziej.

Znakomity pisarz łowiecki Albert hr. Mniszek w artykule „Wyższe i niższe łowy“ [1]) słusznie zaznacza iż „dzielenie myśliwstwa na trzy stopnie jest niepotrzebne“. Lecz nie możemy się zgodzić, aby potrzebny był jakikolwiek sztuczny podział zwierzyny, choć podany przez niego jest istotnie „najwięcej odpowiadający dzisiejszym naszym pojęciom myśliwskim“.

Mniszek do wyższych łowów zalicza (żubra), niedźwiedzia, jelenia, łosia (kozicę), rysia, dzika, żbika, rogacza, głuszca, dropia, orła, puhacza, żórawia, cietrzewia, jarząbka i sokoła. Podział ten Autor zaopatruje uwagą iż „stopień ostrożności i czujność zwierza, jakoteż warunki w których się nań poluje, decydują do którego rzędu łowów zaliczyć go się powinno. Pobocznym czynnikiem jest stopień rzadkości danego zwierza“. Zgoda. Lecz, jeśli „stopień ostrożności i czujność zwierza“ są rzeczą najważniejszą, dlaczego w wyższych łowach nie mamy wilka ani lisa, a z ptaków dzikiej gęsi? Jeśli „warunki w których się poluje“ są rzeczą stanowiącą o przynależności do wyższych łowów — to czemu brak w nich słonki, którą strzelamy w najczarowniejszy wieczór wiosenny w najromantyczniejszych warunkach? Podział jest sztuczny — jak każdy podział nieoparty na mocnej podstawie i zgoła zbędny.

Świetny autor „Łowiectwa“ inż. Wiesław Krawczyński do wyższych łowów (łowy na grubego zwierza) zalicza: żubra, łosia, jelenia, daniela, sarnę, kozicę, niedźwiedzia, wilka, dzika, rysia, świstaka i bobra; z ptaków zaś: głuszca, dropia, żórawia, łabędzia i orła. Do niższych łowów (polowanie na drobną zwierzynę) między innemi: żbika, wydrę, cietrzewia, jarząbka,

Dlaczego żbik lub wydra ma być „drobną zwierzyną“, zaś świstak „grubym zwierzem“?

Znowu razi nas dowolność podziału i rozbieżność motywów. Zwierzyną grubą bowiem nazywa Sz. Autor tę, której zasadniczo należy się strzał kulą, natomiast zwierzyną drobną tę, którą strzela się śrótem.

Na jakie manowce prowadzi taki podział stwierdza to dostatecznie następujące zdanie Sz. Autora o rysiu: „Jakkolwiek rysia zaliczamy do zwierzyny grubej, to jednak ze względu na jego czarną naturę, a djabelskie obroty, strzelać doń można także grubym śrótem“. Wilk zatem, zdaniem autora „Łowiectwa“ nie ma czarnej natury? A zające, cietrzewie, jarząbki i kuropatwy strzelamy śrótem — z powodu ich czarnej natury?

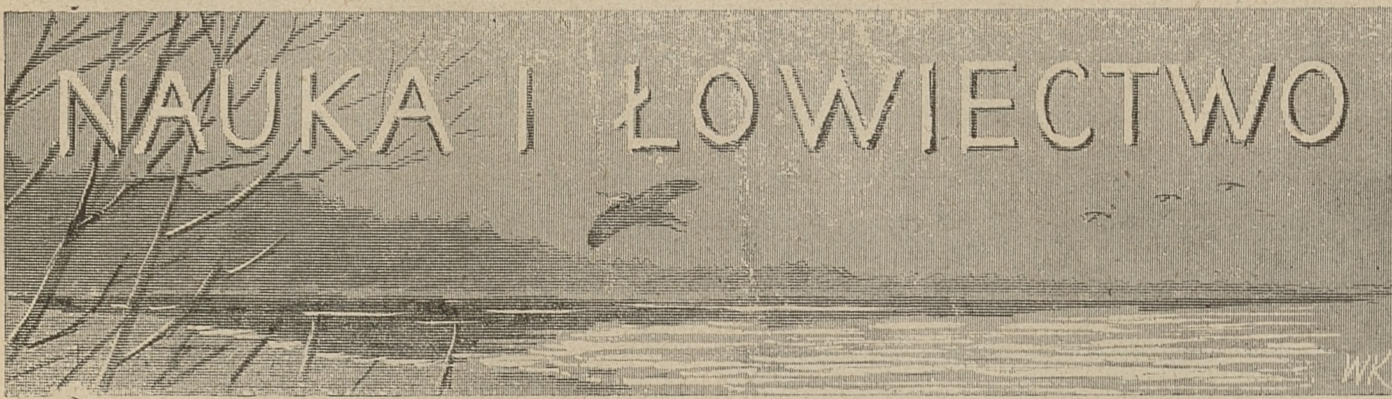
Sądzę, że szeregiem przytoczonych przykładów stwierdziłem niejednolitość i rozbieżność podstaw na których pisarze myśliwscy nasi i cudzoziemscy oparli swój sztuczny podział zwierzyny, podział ongi umotywowany historycznie, dziś zaś będący niczem nieumotywowanym przeżytkiem.

I dlatego współcześnie z porzuceniem dawnego podziału zwierzyny na pożyteczną i szkodliwą winniśmy porzucić sztuczny i niesprawiedliwy jej podział na szlachetną i nieszlachetną.

Juljan Ejsmond,

[1]) „Łowiec“ 1914 r. Nr. 12.





SOKÓŁ WĘDROWNY.

(*Falco peregrinus calidus*).

3

Wracam do właściwego tematu, do szczegółowego opisu sokoła wędrownego.

Sokół wędrowny (Falco peregrinus, calidus, lanulatus) jest nieco mniejszy od gołębiarza. Dziób ma silny, hakowato zgięty, upierzone poniżej połowy skoku nogi, bardzo długie skrydła i stosunkowo krótki ogon. Kolor płaszcza jest popielaty z bronzowawym odcieniem, ciemno nakrapiany. Wierzch głowy i kark ciemny, wierzchnie pióra ramieniowe u skrzydeł prawie jasne. Lotki, z których trzecia z rzędu jest najdłuższa, są z wierzchu czarne, pod spodem zaś jaśniejsze z bronzowemi prążkami. Każde pióro na płaszczu ma ciemniejsze poprzeczne prążki i ciemną, błyszczącą stosinę. Skrzydła silne i tak długie, że dochodzą prawie do końca ogona; brak im do niego 2½ cm. Długość ich wynosi 36 cm. Ogon mierzy 20 cm. jest z wierzchu ciemno stalowej barwy w liczne i poprzeczne prążki; każda z 12 sterówek kończy się biało-żółtą obwódką, i jest od spodu gęsto pręgowana. Boki głowy i policzki w okolicy żuchwy mają ciemne bokobrody, które ciągną się aż do szyi. Samo podgardle i górna część piersi jest biało-żółta bez plamek. Dopiero na piersi właściwej widzi się drobne, zrazu rzadkie i małe centki, które dopiero w oddaleniu mniej więcej 10 cm. od nasady dzioba stają się gęste i duże i przechodzą w poprzeczne prążki, jak u gołębiarza. Prążków jest od 2 do 6-ciu na każdem piórku. Poprzecznie prążkowane są również boki podbrzusza, puszyste pióra na nogach i całe podbicie ogona. Pod wierzchniemi piórami widać na ciele gęsty puch, koloru siwego. Długość ciała od końca dzioba do końca ogona mierzy 49 cm., szerokość w rozskrzydlu 104 cm., a objętość piersi 38 cm. Dziób ma 3 cm. długości, a w obwodzie u nasady 6 cm. W górnej szczęce widać duży ząb, wchodzący dokładnie w odpowiednie zagłębienie w dolnej. Kolor dzioba ciemno stalowy; żuchwa jest jaśniejsza. Woskówka żółta, otwory nosowe okrągłe, ukryte w dzióbnych piórkach. Oko sokoła jest piękne, duże i łzawe. Tęczówka ciemno bronzowa, prawie czarna. Oczy, opatrzone potrójną powieką, jak u innych ptaków, otoczone są nadto dość grubą, mięsistą, za życia czerwoną obwódką; za nią widzimy na małej przestrzeni nagą skórę. Nad każdem okiem widać rogowy daszek, a poniżej ku szyi, ukryte w piórach małżowiny uszne. Nogi sokoła są silne, nie wysokie, upierzone poza piętę, i okryte tarczkowatą skórą koloru brudno żółtego. Palce o trzech członkach, kończą się bardzo długiemi, ostremi, obłemi w przekroju szponami, koloru stalowego. Najdłuższe szpony widzimy na palcu tylnym, środkowym i wewnętrznym. Na podeszwie narastają pod każdym palcem po 3 brodawkowate poduszeczki. Palce spięte u nasady krótką błoną. Samica jest znacznie większa i wogóle piękniej znaczona.

Podanych pomiarów i całego opisu dokonałem na egzemplarzu ubitym przez d-ra M. w grudniu r. 1921. Sokół ten siedział w otworze dachu na gmachu sądu i zajęty był skubaniem upolowanej kawki. Śmierć zaskoczyła go o godzinie $7^1/_2$ rano.

W Afryce żyje podgatunek sokoła wędrownego, nieco mniejszy od naszego (falco peregrinus minor), w Indjach zaś większy, ciemno upierzony (falco peregrinator).

Nazwa sokoła wędrownego pochodzi stąd, że podróżuje on po całym świecie. Gnieździ się w lecie w północnej Europie, w Azji i w Ameryce, znajdując tam obfity pokarm w nieprzeliczonych stadach wszelakiego ptactwa wodnego, z nastaniem zaś pory zimowej przenosi się za przelotnem ptac-

twem daleko na południe, nad Morze Śródziemne, do Afryki, Azji: Mandżurji, Chin, Japonji a w Ameryce aż do Meksyku. Jest najbardziej rozpowszechnionym drapieżnikiem na ziemi. Rozprzestrzenienie swoje zawdzięcza nadzwyczajnym zdolnościom lotniczym. Pod względem siły i wytrwałości lotu niema w awifaunie równego mu ptaka. W czasie wędrówek zatrzymuje się tu i ówdzie dłużej zależnie od obfitości pokarmu. W pobliżu dużych stawów, zarośniętych trzciną, a zaludnionych przez rzesze kaczek, zwłaszcza cyranek, przebywa długo, bo aż do zimy. Dopiero, gdy stawy zamarzną, a kaczki się przeniosą, znika i sokół. Ulubioną jego codzienną strawę stanowią przedewszystkiem cyranki. Chwyta je w locie z przedziwną zręcznością. Widziałem, jak je brał nad samą wodą lub w zawrotnej wysokości pod chmurami i jak się z niemi opuszczał, siadał w polu i zjadał. Nie zauważyłem, aby mu się kiedy która wymknęła. Uderzając na nie, wydaje niekiedy lotkami głos, podobny do przeciągłego huku; szum jego skrzydeł słychać na znaczną odległość. Pięknie wyglądają łuki i piruety jakie sokół zakreśla w powietrzu. Biada tej kaczce, na którą padnie jego spojrzenie!



Sokół Białozór.

Z łupem zrywa się niechętnie; porusza wtedy szybko i pracowicie skrzydłami i zwiesza nogi z kaczką w szponach. Dopiero, gdy przeleci kilkadziesiąt metrów i wzbije się nieco w górę, podciąga łup do brzucha tak, że ten znika pod nim zupełnie. Trzepocącą się kaczkę lub gołębia uśmierca zwykle w powietrzu, miażdżąc czaszkę ukąszeniem potężnego dzióba. Widziałem nieraz, jak się zginał w locie i jak kaczka, trzepocąca przed tem skrzydłami, uspokajała się natychmiast.

Gołębia dogania, lecąc za nim równo i nie unosząc się wysoko nad nim. Sam chwyt robi wrażenie zwyczajnego zderzenia się dwu ptaków... Najszybszy lot gołębia wydaje się nader powolnym w porównaniu z szybowaniem sokoła. Ofiarę ujmuje zgrabnie i nieznacznie... podlatuje do niej, wyciąga szpony i zabiera ptaka, który jakby na to czekał... Sterczące ze szponów skrzydła ofiary zgarnia sokół pod siebie i chowa, bo nie lubi być niezgrabnym i nie chce być zauważonym. Miejsce żerowiska obiera zawczasu i zmierza do niego lotem równym i pewnym.

Duże rzeki, zarośnięte po brzegach lasami trzcin, jak np. Dunaj w Dobrudży, są ulubionem zimowem siedliskiem sokoła wędrownego, bo tam zimują wszystkie gatunki kaczek i innych pływaków w niezliczonych stadach.

Przebywa nie mniej chętnie i w dużych miastach, posiadających wysokie wieże kościelne. Widuje się go często w Warszawie, we Wiedniu, we Lwowie i w Krakowie. Wielki nasz ornitolog, Wł. Taczanowski, opisuje samicę sokoła wędrownego, która przez lat kilkanaście przemieszkiwała stale na wieżach kościelnych w Warszawie, żywiąc się gołębiami. Nawet w Rzeszowie przebywa każdej zimy sokół; widziałem go jeszcze w kwietniu b. r. w pogoni za gołębiem, którego chwycił i uniósł za miasto.

Ciekawem z wielu powodów jest zachowywanie się wron, gawronów i kawek wobec ciągnącego sokoła. Gdy przed gołębiarzem cała ta gawiedź ucieka na oślep, gdy gołębie nawet w stadzie zebrane, rozbijają się wtedy i latają nerwowo tu i tam bez planu, gdy wogóle wśród rzesz skrzydlatych zapanowuje popłoch i groza, to na widok sokoła zachowuje się ptactwo nad wyraz spokojnie: wrony i gawrony latają swobodnie i załatwiają swoje życiowe sprawy, gołębie także nie zawsze się płoszą, a inne drobniejsze ptaki nawet nie zwracają na drapieżnika uwagi. Ten tymczasem nadlatuje, bierze prawie niedostrzegalnie daninę i uchodzi. Taki sam spokój zachowują i dzikie kaczki i nic,

zdawałoby się, nie robią sobie z sokoła. Widziałem wiele razy, jak wystraszone strzałami wznosiły się kaczki wysoko, tam w górze podlatywały często same do krążącego sokoła, a napływały do niego tak blisko, że je bez najmniejszego trudu porywał. Nie dziwiłem się też temu wcale, że sokół ten wnet po pierwszych strzałach nad staw przylatywał.

Zdarza się niekiedy, że domowe gołębie, częściej napastowane, wzbijają się na widok sokoła w stado i unoszą szybko w górę. Na tle pogodnego nieba wyglądają malowniczo i interesująco szybkie ruchy stadka, oświetlane co moment inaczej przez słońce, które barwi raz srebrem, raz złotem lub purpurą tę ruchliwą, żywą ptasią chmurkę. Sokół zaś co chwila uderza na gołębie i gdy mu się nie uda odłączyć jednego od stada, cofa się wspaniałym łukiem, by za chwilę, nabrawszy rozpędu, rozpocząć atak na nowo. Zapasy te, bądź co bądź śmiertelne, robią jednak wrażenie niewinnej igraszki. Sokołowi bowiem chodzi tylko o pozory niewinności, zdąża więc do oswojenia ze sobą łowczej zwierzyny, poluje skromnie bez rozgłosu i dlatego właśnie jego zjawienie się nie wywołuje popłochu.

Że ptak ten jest silny, odważny i zwinny, dowodzą tego: krzepka i zwięzła budowa jego ciała, długie i mocne skrzydła. Przyroda wyposażyła go też hojnie zarówno we wszelkie przymioty duchowe, jak i w znamienite narządy łowcze, kwalifikujące go na doskonałego myśliwego. Świetny wzrok, błyskawiczny lot, straszliwa broń w szponach i w dzióbie, stanowcza i szybka decyzja w wyborze łupu, tudzież środków i sposobów polowania, stawiają go wysoko w rzędzie skrzydlatych drapieżników. Na długich skrzydłach unosi się łatwo w górę, a jeszcze łatwiej spada w dół z zawrotnej wysokości. Lecąc nisko nad ziemią, porusza szybko skrzydłami i roztacza szeroko sterówki, unosząc się wysoko prawie niemi nie pracuje, a płynie równo i chyżo.

(*D. c. n.*). *Władysław Gürtler.*



HODOWLA KUN NA FUTERKA.

Artykuły, które zamieściłem w „Polskim Drobiu" oraz „Przeglądzie myśliwskim" w sprawie nowoczesnej hodowli zwierząt futerkowych w Kanadzie, Stanach Zjedn. i innych krajach, wzbudziły znaczne zainteresowanie hodowców i miłośników tych zwierząt, którzy skwapliwie poszukują fachowych informacji, opartych na praktyce hodowców wymienionych państw. Codziennie niemal otrzymuję listy z prośbą o udzielenie bliższych szczegółów w tej sprawie, wskazanie odnośnej literatury i t. p. Aczkolwiek literatura obca, w szczególności zaś amerykańska, jest dość zasobna w dane, dotyczące poruszonej sprawy, wszakże materjały te w wielu wypadkach mają raczej charakter poszukiwań i badań eksperymentalnych, prowadzonych przez odnośne instytuty biologiczne, niemniej jednak rezultaty tych prac, jak również wyniki spostrzeżeń poszczególnych hodowców, ciągnących zyski z tej hodowli oraz własne skromne doświadczenie, pozwalają mi streścić w możliwie zwięzłej formie najważniejsze wskazówki, dotyczące tej zupełnie nowej w naszym kraju gałęzi produkcji zwierzęcej. Sądzę, iż z czasem nagromadzimy materjał własny w tym przedmiocie, chroniący nas w przyszłości od omyłek, które z braku doświadczenia własnego są prawie że nieuniknione.

Istnieją dwie odmiany kun: K u n a d o m o w a albo k a m i o n k a (Mustela foina) oraz K u n a s z l a c h e t n a albo l e ś n a (Mustela martes). Co do wartości futerka — kunę leśną należy postawić na pierwszem miejscu, domową zaś na drugiem.

Kuna szlachetna albo leśna, osiąga przeszło pół metra długości. Futerko na grzbiecie posiada ciemno-brunatne, na bokach i brzuchu żółtawe, na

nogach ciemno-bure, ogon również. Na gardle żółta plama. Zimową porą futerko bywa ciemniejsze i piękniejsze niż latem. Samiczki zwykle posiadają futerko o mniej intensywnem umaszczeniu i plama na gardle jest mniej widoczna niż u samca. Ość futerka kuny jest długa i szorstka, natomiast podkład puchowy gęsty i miękki.

Kuna szlachetna zamieszkuje przestrzenie leśne. Po drzewach łazi, jak kot. Pożera drobne ssaki i ptactwo w wielkich ilościach. Nienasycona w swym apetycie, niszczy więcej swych ofiar niż jest w stanie zjeść. W kwietniu lub w maju wydaje na świat kilka sztuk młodych, które rodzą się ślepe. Po 6—8 tygodniach młode kuny już zaczynają samodzielnie wyszukiwać sobie pożywienie.

Kuna domowa albo kamionka jest cokolwiek mniejsza od leśnej i niższa na nogach. Futerko ma szaro-bure o krótkiej ości, przytem podkład puchowy ma zupełnie jasny, prześwitujący na zewnątrz. Plama na gardle bywa najczęściej biała lub też lekko żółtawa. Zamieszkuje wszędzie w pobliżu siedzib ludzkich. Jest niezmiernie zwinna, żarłoczna i łakoma. Pożera różne drobne ssaki, jak to szczury, myszy, wiewiórki, króliki i t. p. nadto tępi ptaki, jaszczurki, węże, lubi bardzo jaja, zjada również chętnie większe owady i owoce. Obie odmiany kun oswajają się łatwo; odpowiednio żywione i utrzymane—rozmnażają się pomyślnie w niewoli.

P o m i e s z c z e n i e. Przystępując do chowu kun, należy pomyśleć przedewszystkiem o przygotowaniu im odpowiedniego pomieszczenia. Byłoby zbyt lekkomyślnem chować te zwierzątka w klatkach, jak to ma miejsce w hodowli królików, gdyż w takich warunkach rozmnażać się one nie będą. Kuny muszą być hodowane na dworze. Im większych rozmiarów będzie teren przeznaczony dla kun, tem lepiej. Każde zwierzątko musi mieć swoją własną zagrodę (wybieg) i własne legowisko. Mając na myśli względy praktyczne i powodując się oszczędnością, gdy chodzi o hodowlę dochodową, należy urządzić wybiegi rzędem, jeden obok drugiego, jak to ma miejsce w gospodarstwach drobiowych, z tą różnicą, iż wybiegi dla kun muszą być urządzone w ten sposób, aby zapobiedz ucieczce ich mieszkańców. W tym celu muszą być one otoczone mocną siatką drucianą, którą pokrywa się również brzeg wybiegu. Aby kuny nie mogły się podkopać, amerykańscy hodowcy układają na ziemi podłogę z cegieł lub też przeciągają na całej powierzchni wybiegu siatkę drucianą, dobrze ocynkowaną, którą przysypują grubą warstwą piasku. Wymiary wybiegów bywają różne, w każdym bądź razie nie mniejsze niż 2 metry wzdłuż i $1^3/_4$ metra wpoprzek oraz 2 metry wysokości. Część wybiegu zaleca się przykryć dachem, aby było miejsce zabezpieczone od deszczów i śniegu. Drzwi prowadzące do zagród powinny wychodzić rzędem na jedną alejkę, aby łatwiej było dozorować i wykonywać codzienne czynności w zagrodach. W każdej zagrodzie powinna być umieszczona mała drewniana budka, która służy do noclegu i wykotu. Budka (legowisko) powinna składać się z korytarzyka i właściwego gniazda, do którego z pierwszego prowadzi otwór. Budka powinna być urządzona w ten sposób, aby łatwo było ją oczyścić. W tym celu robią daszek na zawiaskach podnoszony ku górze i t. d. Naogół budki budują przenośne, ale zrobione szczelnie z grubych desek, a jeszcze lepiej z podwójnemi ściankami, zasypanemi trocinami lub torfem dla ciepła.

Prócz gniazda w każdej zagrodzie powinien być ustawiony pień drzewa wraz z gałęziami, po którym kuny lubią biegać.

Gdy zwierzątka się oswoją, można od czasu do czasu puszczać je do sąsiednich zagród. W tym celu między zagrodami powinny być urządzone małe zamykane przejścia.

Ż y w i e n i e. Kuny utrzymywane w niewoli, jedzą chętnie nietylko pożywienie mięsne, ale również mączne, jarzyny i t. p. To też najczęściej żywią je resztkami od stołu, gotowanym ryżem kaszą, chlebem, mlekiem, odpadkami z rzeźni, gotowanemi śliwkami i innemi owocami. Od czasu do czasu dają im głowy zabitych kur, duże kości z żyłami, które dobrze działają na rozwój zębów kun. Gdy się daje zabite małe zwierzątka, radzę usuwać uprzednio kiszki i wątrobę, gdyż te zawierają często pasorzyty, szkodliwe dla zdrowia kun. Samice z młodemi muszą być żywione dwa razy dziennie, inne jeden raz lub dwa razy. W tej kwestji zdania są podzielone. Przekarmiać zwierząt nie należy, gdyż to jest najszkodliwsze. Woda powinna stać zawsze świeża. Żywić kuny winny jedne i te same osoby i o jednej porze. W ten sposób zwierzątka szybko się oswajają. Pomaga tu również cierpliwość i umiejętność obchodzenia się ze zwierzętami.

R o z m n a ż a n i e. Parowanie kun odbywa się zazwyczaj w styczniu lnb lutym. W tym celu wpuszcza się samiczkę do zagrody samca, którego najlepiej mieć w sąsiedztwie. Jeden samiec wystarcza w hodowli na 4—6 samic.

Przed wykotem należy oczyścić gniazdo i wysłać je nanowo suchą podściółką. Po tej czynności zostawić samiczkę w spokoju i nie otwierać gniazda. Nie należy też wpuszczać do kotnej samicy innych kun. Kuna opiekuje się doskonale swemi dziećmi, należy tylko dbać, aby była zawsze regularnie nakarmiona i miała czystą wodę.

Parując kuny, należy mieć na względzie, iż

tylko od dobrze umaszczonych sztuk można otrzymać ładne potomstwo. To też wartość futerka młodych zależy od doboru rozpłodników. Jak i w innych działach hodowli, dużą rolę odgrywa tu samiec, który powinien mieć zwarte, gęste, o długim włosie ciemne futerko.

Kuny chowają się naogół dobrze, rzadko chorują; umiejętnie żywione i starannie pielęgnowane przywiązują się do swego chlebodawcy. W razie zaburzeń żołądkowych, dobre rezultaty daje skarmianie świeżych jaj, które kuny jedzą z wielką przyjemnością. Zresztą świeże powietrze, słońce i czystość są czynnikami, które najlepiej zabezpieczają hodowlę od chorób i strat z niemi związanych.

M. Trybulski.

TERAZ I DAWNIEJ.

W odpowiedzi p. S. Cichowskiemu. W numerze 11 — 12 „Przeglądu Myśliwskiego" p. Cichowski w artykule „Teraz i dawniej — i dlaczego zwierzostan upada" stara się dowieść, że uprawianie myśliwstwa powinno być udziałem, li tylko możnych tego świata i, że zwierzostan u nas dlatego upada, że coraz więcej ludzi „podłej kondycji" uprawia ten najszlachetniejszy ze sportów. Otóż, moim zdaniem, w państwie demokratycznem, jakim jest Rzeczpospolita Polska, sport ten, jak tennis, piłka nożna, narty i t. p. powinien być dostępny dla wszystkich obywateli z wyjątkiem, naturalnie, tych, którzy mieli jakiekolwiek kolizje z prawem. Nazywanie przez p. Cichowskiego polowania w kotły wstrętną i ohydną rzezią jest mocno przesadzone, a twierdzenie, że przy tego rodzaju polowaniach b. nieliczne zające ratują swe życie, mija się z prawdą, gdyż: primo, część zajęcy wychodzi z kotła jeszcze przed zamknięciem takowego, secundo: część zajęcy pozostaje poza kotłem, tertio: część przechodzi pomiędzy naganką i quarto: część — pomiędzy myśliwym i naganką. Na poparcie powyższego twierdzenia przytoczę parę cyfr: na pewnym terenie, dzierżawionym przez jedno z towarzystw łowieckich, do którego mam szczęście należeć; w roku 1922 po b. ostrej, długotrwałej i śnieżnej zimie, polując tylko w kotły, zabito 12 sztuk zajęcy w roku 1923 na tym samym terenie zabito 45 zajęcy a w roku 1914 — zabito 84 zające; kuropatwy: na tym samym terenie w roku 1922 było 3 — 4 stada w roku 1923 — 11 — 12 stad a w r. 1924 podczas zimowego polowania naliczono 35 stad.

Twierdzenie p. Cichowskiego, że wszyscy myśliwi czy pseudo-myśliwi, jak ich p. Cichowski ironicznie nazywa, byli mniej szkodliwi przed zrzeszeniem się w kółka myśliwskie, nie wytrzymuje najlżejszej krytyki, gdyż p. Cichowski, jako stary myśliwy i posiadający to „coś" tą „iskrę bożą" wiedzieć powinien, że najwięcej szkody przynoszą myśliwi, polujący na tak zwanego „pomyka", gdzie w początkach października, każdy zając b.. dotrzyma, a tembardziej kotne samice, które nierzadko jeszcze w tym czasie się spotyka. Dawno zrozumiały to niektóre kółka myśliwskie i wystąpiły do władz z prośbą o zakaz tego rodzaju polowań. Jedynym sposobem, żeby doprowadzić zwierzostan do stanu przedwojennego jest: 1) zrzeszanie się myśliwych w koła myśliwskie; 2) ograniczenie odstrzału zajęcy i kuropatw, a na terenach gdzie jest zły zwierzostan zupełne zamknięcie polowań na rok albo i dłużej 3) walka z kłusownikami 4) walka z włóczącymi się psami „bezpańskimi" a najważniejszą rzeczą jest nietylko umieć strzelać do zwierzyny, ale umieć ją wyhodować, co może każdy właściciel dzierżawionego od włościan terenu, nietylko bene nati et possessionati, jak się p. Cichowskiemu zdaje i dlatego nazywanie kółek myśliwskich kółkami „od siedmiu boleści" jest tylko dowcipem z którego w żadnym razie śmiać się nie można. Zresztą celowość organizowania kół myśliwskich dawno już zrozumieli ci, którym na sercu leży ta gałąź gospodarstwa narodowego, a w pierwszej linji p. p. starostowie zakładając u siebie powiatowe koła myśliwskie. Po przeczytaniu listu p. Cichowskiego doznałem wrażenia, żem czytał list swego pradziadka, który przypadkiem znalazłem w starym lamusie.

J. Krawczyński.





Myśliwsko-wędkarskich wspomnień parę.

4

Wracając do wieczornych przelotów dodam, że rzadko się zdarzało zastrzelić ponad 15 sztuk, zwykłym zaś rezultatem bywało 5—10 kaczek na myśliwego. Dzięki Tumanowi, dużemu białemu w żółte łaty pointrowi Wasyla, zgubienie nawet postrzelonej kaczki bywało rzadkością; czy w wodzie, czy na brzegu, jednakowo pewnie, szybko i dobrze zbierał on ptaki byle tylko wskazać mu było kierunek. Z czasem białego Tumana zastąpił czarny pokurcz Bojar, sumienny również, lecz nosem i wzrokiem mu nie dorównywający; ten ostatni szczegół jest bardzo ważny, na miałkich bowiem przeważnie i ogromnie zarośniętych wodach, gdzie pływanie jest niesłychanie trudne, pies idzie susami, a woda mu często do samego łba dochodzi.

Po wieczornym przelocie: kolacja — był to naprzemian barszcz z cyranek lub kurek wodnych lub też znakomita ucha, buljon z ryb; świetna herbata na rzecznej wodzie dopełniała menu; zaś potem nocleg na posłaniu z siana — w lecie do września pod „połohem“ szczelnem nakryciem z rzadkiego płótna od komarów, od września już poprostu na powietrzu; w razie deszczu wyciągało się na brzeg jedną z łódek, odwróciwszy ją wspierało się jednym końcem o wierzbę i okrywało żaglem, co tworzyło znakomity namiot.

Na rannym przelocie trzeba było być na miejscu jeszcze zanim szarzeć zacznie na jesieni, w lecie trochę później, w każdym zaś razie znacznie przed wschodem słońca. Na dzień kaczki lecą żerować na ciche bardziej otwarcie położone wody przyczem często zmieniają miejsca, na których zbierają się tysiącami; bardzo ważną jest rzeczą dobrze poprzedniego dnia podpatrzeć jeziorko lub liman, gdzie się nazajutrz na przelot stanie, oraz główny kierunek skąd ciąg pójdzie. Jeśli ranny wiatr idzie w kierunku odwrotnym do ciągu, przelot zawsze jest dobry, bo kaczki pod wiatr lecą nizko i znacznie wolniej. Zwykłym rezultatem rannego przelotu było 15—25 sztuk dla wprawnego strzelca.

Strzelaliśmy wyłącznie w lot, otóż trzeba wyjaśnić, co znającym te polowania myśliwym i tak jest wiadomem, iż nie są to bynajmniej strzały łatwe, a to dla trzech powodów: strzela się zwykle daleko, w równym locie, a zwłaszcza przy spadaniu na wodę kaczka leci niesłychanie szybko, zazwyczaj strzał jest niespodziewany i niedogodny dla ukrytego nizko w osoce myśliwego. Pamiętam dobrze mój pierwszy debiut na pławniach; byłem nieomal do rozpaczy doprowadzony — mając b. dobrą dubeltówkę Sauera 12 kal. z dwoma pełnemi czokami, wypuściłem przez dwa wieczorne i jeden ranny przelot koło 80 ładunków, by zabić 2 kaczki. Po pewnym jednak przyzwyczajeniu dochodzi się do wprawy i miałem, raz jeden co prawda, przez cały czas moich tam polowań, nadzwyczaj udatny ranny przelot, na którym, przy tych samych mniej więcej 80 strzałach, zabiłem 68 kaczek. Siedziałem wtedy na kępie w wysokiej osoce nad poprzedniego dnia podpatrzonym niewielkim jeziorkiem „Tatarskim“ w końcu września w bardzo wietrzny, choć pogodny dzień. Wody tej jesieni były nizkie i kaczki zbierały się masami na z wiatrem od Tatarskiego leżących poprzednio wspomnianych wielkich limanach, nad limanami od samego rana krążyło wyjątkowo dużo orłów i wielkich jastrzębi „szulików“, które nie dawały ptactwu spokoju. Tabun szedł za tabunem na Tatarskie i jeżeli po dwóch godzinach przestałem strzelać, to nie z braku ładunków lub lecących kaczek, a poprostu ponieważ Wasyl z psem tak byli zbieraniem zmęczeni, że mi zastrejkowali i szkoda było psuć zwierzyny. Mieliśmy wtedy co nieść do łódki, która się znajdowała na rzeczce „Buczkach“ w odległości zaledwie paruset kroków.

Tylko ostatniego dnia bite kaczki zabierałem w stanie świeżym do domu, zastrzelone zaś po-

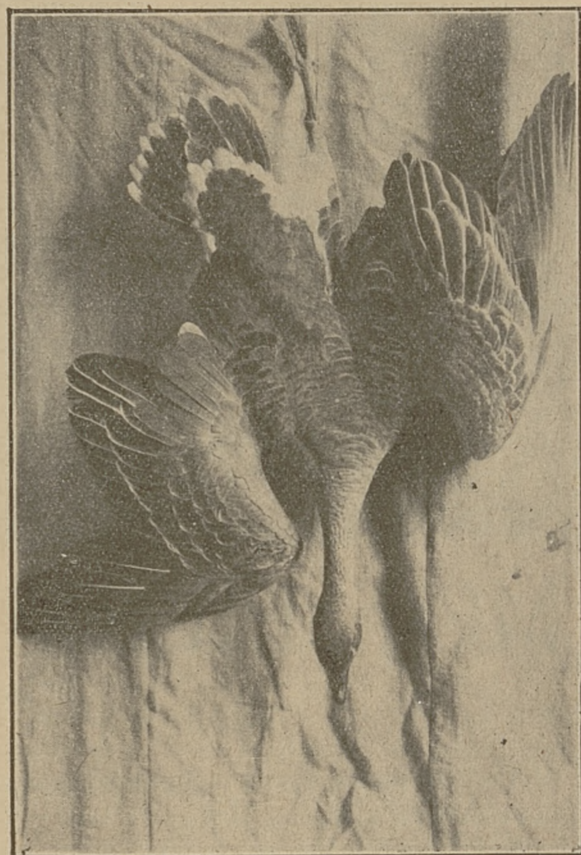
przednio zawsze się czyściło, skubało, rozcinało i soliło w wielkim glinianym garnku; przywiezione do domu i uwędzone na długo jeszcze zaopatrywały spiżarnię. Nadmienię,iż strzelaliśmy do kaczek śrótem grubym, nie cieńszym od № 1 angielskiego.

Szczególnie na jesieni kaczka, niewyłączając najmniejszej cyraneczki z białą piersią, ma taki gęsty i sprężysty materac na sobie, że strzelanie drobniejszym śrutem staje się bezcelowe; słychać uderzenie śrutu po piórach, jakgdyby ją kto szpicrutą śmignął, a kaczka leci.

Na bekasy i bataljony w lecie polowaliśmy obchodząc z psem niewielkie błotka, — w słoneczne zaś jesienne dni babiego lata setkami spotkać można było oblane tłuszczem kszyki na zupełnie suchych sianokosach. Tu znów Wasyl, który do przepiórek i kuropatw strzelał bez pojęcia, dawał nam czasami lekcję, bijąc bez pudła po dziesięć bekasów z rzędu; poprostu widocznie nie umiał strzelać do wolno lecących ptaków.

Jesienny przelot ptaków myśliwskich otwierały na pławniach słonki, które zaczynały się pojawiać od 15 września; następujący po deszczu północny wiatr sprowadzał je zawsze w dużej ilości na zarośnięte dużemi wierzbami wysokie brzegi pławieńskich rzeczek. Po słonkach następowały gęsi. Gdy tylko po św. Michale ukazały się nad stepem pierwsze klucze, szła zaraz depesza do Wasyla i w kilka dni później już byliśmy nad wielkimi limanami. Polowanie to było dla nas udatne tylko w pogodne wieczory i podczas pełni księżyca. Gęsi lecą b. późno lub też b. wcześnie; wieczorem, gdy kaczki już dawno przestały latać, trzeba stać cicho najlepiej na jakim głęboko w liman wchodzącym cyplu; palić pod żadnym pozorem niemożna. Nagle dolatuje odległa jeszcze niska przygrywka gąsiora, na którą chórem wyższych głosów odpowiadają młode; potrochu, potrochu zaczyna być słychać szum skrzydeł. Stado idzie wysoko, parę razy oblatuje dookoła liman, coraz niżej stopniowo, i rozgląda się „rozdywlajetsia“ gdzie usiąść. Skurczony w osoce siedzi człowiek i odetchnąć się boi; nareszcie szum się zbliża i powoli na tle ciemnego nieba zaczyna się rysować ciemniejsza jeszcze plama; jeden strzał w kupę, tabun się zbija, drugi strzał na poprawkę i plusk spadających do wody ptaków. Nie często się zdarza, iż gęsi na myśliwego nalecą, strzał sam z siebie też nie jest tentujący, a tylko rzadkość zwierzyny i wyjątkowe tło stanowią urok tego polowania. Wszystkie gęsi strzelane przezemnie na pławniach były jednego gatunku, z różowym dziobem, z ciemnem prawie czarnem opierzeniem, ważą 6—7 funtów; zamało jestem kompetentnym ornitologiem by je zaklasyfikować.

Czasami gdy myśliwych była większa ilość t. j. 4—5 polowaliśmy na gęsi trochę inaczej, a mianowicie w następujący sposób. Stojąc koszem w pobliżu wielkich limanów, podsłuchiwaliśmy w nocy na którym z nich siadały gęsi; wcześniej niż na zwykły przelot jeszcze pociemku obstawialiśmy o ile można południowy brzeg jeziora, ponieważ gęsi zrywając się mają zwykły kierunek na południe wzdłuż Dniepru; jeden z myśliwych poświęcał się i stawał z północnej strony; zanim się gęsi nie zerwały, należało zachowywać zupełną ciszę; gdy już świt dobrze poszarzał, myśliwy-naganiacz korzystał z pierwszych nadlatujących kaczek i da-



DZIKA GĘŚ. Fot. prezes Bol. Świętorzecki.

wał strzał; gęsi z gęganiem wznosiły się w powietrze i często, zwłaszcza w czasie lekkiej mgły, lub oparów nadlatywały na jednego z reszty strzelców, jeśli ci byli dobrze pochowani w osoce lub oczerecie.

Łabędzie wiele razy widywałem i często w nocy słyszałem ich potężną trąbę przypominający głos, zastrzelić mi się jednak żadnego nie udało. Opowiadano mi wypadek, który miał miejsce na pławniach na parę dni przed naszym tam przyjazdem i który daje miarę o sile skrzydeł tego wspaniałego ptaka, który dochodzi w 3-im roku życia, gdy pióra jego zupełnie zbieleją do 30 funtów wagi; szczęśliwy myśliwy z radości schwycił

leżącego na ziemi łabęozia za szyję i przerzucił go przez ramię, w tej chwili ptak dał parę ostatnich kurczowych uderzeń skrzydłami i tak silnie uderzył po bokach niespodziewającego się tego strzelca, iż ten zemdlał i cucić go musiano.

Wspaniały jest widok tych wielkich hieratycznie białych ptaków lecących na tle rumieniącego się zorzą poranną nieba zwłaszcza w tym pławieńskiem pełnym prymitywnego legendarnego jakiegoś nastroju otoczeniu. Nigdy nie zapomnę tych cudownych poranków pławieńskich; stoi się przed świtem w cichą jesień nad jeziorem, z odległych, na wysokim stepowym brzegu położonych wsi dochodzi zdaleka pierwszy dźwięczny głos rogu „czerednika“ zwołujący „czeredę“ na pastwisko, później dzwony cerkiewne, niebo różowieje, kaczki lecą a lecą, serce rówiej bije, pierś pełniej oddycha i radość z życia w tej ciszy porannej poprostu rozpiera człowieka. Pełne dziwnego czaru były również wieczory spędzane przy ognisku, leżąc i słuchając „bałaczki“ Wasyla w prawdziwej, w tym zapadłym kącie bez naleciałości przechowanej, ukraińskiej gwarze, dosadnej w swej prostocie a malowniczej; nie trzeba go było za język ciągnąć, sypał jedna za drugą rozmaite wesołe opowiastki, bajki i podania, a już poprostu niewyczerpany był i niesłychanie zajmujący w opowiadaniu o zwyczajach i życiu pławieńskich zwierząt i ptactwa, z któremi się razem rodził i wzrastał, i o rybach, które były początkiem i podstawą jego zamożności.

I rzeczywiście, jeżeli bez liku tam było ptactwa, to niemniej ryb zawierały pławieńskie wody i chociaż główne na sprzedaż rybołówstwo odbywało się sieciami i więcierzami najrozmaitszych rodzajów i wielkości, jednakowoż ponieważ dzierżawcy rewirów rybnych łowienia wędką nie wzbraniali, sporo było zwłaszcza pomiędzy staremi chłopami takich, którzy tą umiejętność do wysokiego stopnia doskonałości doprowadzili. Rzecz ciekawa, iż tam nieomal po raz pierwszy zapoznałem się praktycznie z mało u nas w kraju znanymi, a bardzo na Zachodzie i w Ameryce rozpowszechnionymi sposobami łapania na ciągnącą łyżkę — „trolling“ — po pławieńsku zwaną drożką (zapewne od słowa drżyć), lub też chwytania ryb na opuszczaną i podnoszoną błyskotkę, to co francuzi nazywają „pêche à la dandinette“. Przybory do tych sposobów, które u nas trzeba sprowadzać z zagranicy według angielskich lub francuskich katalogów, tamtejsi rybacy robili sami z miedzianych pięciokopiejkówek bielonych cyną po jednej stronie.

(*D. n.*)

J. R.

MÓJ PIERWSZY DUBELT.

(*Z teki myśliwego*).

(*Dokończenie*).

„Byliście na swojem polu nieprawdaż?—w swoich konopiach?“ zapytałem. „Ależ gdzieżtam! — ja nie mam żadnego pola! — ja „gromadzki“ (gminny) pastuch — naharuje się człowiek z „towarem“ (bydłem) od 3-ej rano — no! rozmorzy gorąco — to i śpi sobie! — a ja zaraz pokażę paniczom, gdzie tych „bekasów“ — jak prochu jest! ot, z ½ wiorsty jeszcze przejść trzeba, pod stawek Mołczanowiecki na „ludzkich“ sienokosach. Dajte, pane, „tiutiuńca“[1]) do „lulki“ (fajki) — jak mają panowie!“.

Bronio, który zawsze palił, tak zwane „kręcone“ papierosy, jak pamiętam, z długiego trzcinowego munsztuka, skwapliwie natychmiast obdzielił „diadka“. — Ten ostatni metodycznie nabiwszy i zapaliwszy luleczkę — pykając „dyszkurował“ dalej — podczas gdy mnie aż słabo robiło się z niepewności!

„Oj Boże, mój Boże! — oto okazja! — od lat dziesięciu chodzę taj chodzę i do „ferszała“ i do samego „kazionnoho“ (rządowego) doktora Choroszytowa z Tawołoczy za poradą! i baby pić spirytus z octem na mrówkach nieraz dawały! — nie „pomahaje“ — taj hody! — powiadają że w Krzywoszyńcach podobno jest stary „did“ (dziad) — co umie „zahowarywać“ (zamawiać) — trzeba będzie do niego! — a to wciąż kuleję i kuleję! (skręciło całego), „skrutyło wsioho“ — „panoczku serdeńko”, (przy tem pokornie pocałował moją rękę) — dajte na „dida“ — choć z „pił karbowańca“ (½ rubla)!“

Kamień rzekłbyś spadł mi z serca! Świat cały zajaśniał pięknem nowem!

Więc niema mojej winy! — niema śrócin mojej „Baeckerówki“ — w starym pastuchu, jak się okazało, ułomnym od lat wielu!

Z duszą przepełnioną radością — dałem mu aż całego rubla! Śród potoku podziękowań i bło-

[1]) Tytoniu.

goslawieństw — rzetelnie uspokojeni — powlekliśmy się dalej we wskazanym kierunku!

Zabiłem wtenczas, pamiętam, kaczkę krzyżówkę na jakimś jeziorku — na Mołczanowieckich zaś włościańskich sianorzęciach okazało się całe zatrzęsienie kszyków! Bronisław upolował 26 sztuk, ja też pod wpływem radości widać — aż całych dwa i doścignąłem nareszcie spełnienia marzeń — albowiem padł z mej ręki śliczny, tak zwany „funtowy“ mój pierwszy dubelt! Wracaliśmy w pogodny wieczór — pod czarownem tchnieniem „Pól Dzikich“!

Tumany złotawego kurzu wiły się po drogach, podjęte przez powracające z pastwisk ścierniowych bydło.

Temi samemi „szlakami“ — ongiś zapewne, chadzali nieraz „komunikiem“ ś. p. Imć pan Zagłoba ze Skrzetuskim i Wołodyjowskim! — mołojcy Bohuna, Krzywonosa i Chmiela! — czambuły tatarskie!...

Zapach „chlebowy“ świeżo zoranych przestrzeni, przeróżnych ziół polnych — otulał pieściwie horyzonty bezgraniczne aż het tam u Limanów Czarnomorskich ginące. Słońce czerwone po dniu upalnym „na pogodę“ zapadało powoli i gasło w purpurach królewskiej zorzy wieczornej!... I dobrze nam było i słodko! i błogo na duszy! I nigdy, zda się, nie miało być końca tej ciszy i temu ukojeniu bajecznemu!

„No! paniczu! „poszancowało“ nam dziś — niema co mówić! — kaczka, trzy bekasy, pierwszy dubelt i spudłowany „diad'ko“! Tylko o tem ostatniem — to lepiej do czasu milczeć w domu! — a broń Boże, trafić na dzień „feralny“ — to wypadłoby tak: kszyk „adiů“! — a diad'ko leży! — bo, paniczu, „każden“ człowiek urodzony pod jedną lub drugą „konstelacją“ — ma swoją „planetę“ — która go nie minie! — Niech tylko panicz innym razem nigdy nie strzela naprzeciwko krzaków lub konopi czy burzanów „na metę“ — nie będąc pewnym „sacre sancto“, — że żaden „czort“ tam nie siedzi! No, zresztą chwała Bogu, że się tak wszystko skończyło. — Ale „fernapiksu“ (strachu) — miałem i ja nie małego! Zabronionoby paniczowi polować! — a tu sam „smak“ dopiero się zaczyna!— A z panicza może być myśliwy „całą gębą“ — nie gorszy od samego pana Zapolskiego z Wasylówki!“ [1])



Gryfon nad zabitym dubeltem.

Nauka ostrożności w las nie poszła, — na całe życie pozostała.

Dawno to już było! — stare to już dzieje!... Nie mało wody i łez upłynęło od tego czasu na świecie szerokim!...

Adam hr. Rzewuski.

[1]) Ś. p. p. Antoni Zapolski, słynny nemrod ukraiński weteran, którego nikt nigdy w innem stroju oprócz kurtki myśliwskiej nie widział. Szlachetna postać ziemianina, pełna dawnej tężyzny i poczciwości Praojców.

Wyprawa myśliwska do Abissynji

5

Oba brzegi porosły kępami drzew, które miejscami tworzyły nieprzenikniony dla oka gąszcz. Ljany i pnącze, to jaskrawo zielone, to brązowe, to szare, nagie jak węże, pełne liści, lub pokryte kwieciem łączyły drzewa dziwaczną siatką. Jaskrawo upierzony ptak przelatywał z gałęzi na gałąź hałaśliwie krzycząc.

Spojrzałem na słońce... Płynęło już ku zachodowi, ale paliło żywym ogniem. Spojrzałem na przebytą dopiero co drogę, i rozumiejąc, że wę-

drówka ku górze będzie jeszcze o wielę uciążliwszą, skrzywiłem się mimowoli. Kolejno przeniosłem oczy na rzekę z której płynął orzeźwiający wiew, na miękką murawę, na puszczę tchnącą tajemniczym czarem, i postanowiłem, że noc spędzę, tu właśnie, nie gdzieindziej.

Na wyrwanej z notatnika kartce napisałem list do pana D. prosząc o przysłanie mi: koca, poduszki i skromnej kolacji. Ali i Musu list ten ponieśli, ja zaś, opatrzywszy broń, wstąpiłem na przerzucony przez rzekę bardzo prymitywny most, i minąwszy go szczęśliwie stanąłem na drugim brzegu.

Las zaczynał się tuż nad wodą i gwarzył cicho nieuchwytnym niemal szelestem. Szedłem zwolna, badając oczyma gąszcz, gotów do obrony lub napaści. W pewnej chwili natknąłem się na stado małp; drzemały widocznie i zaniedbały wystawić straż, dlatego dały się podejść tak blizko. Na widok białego człowieka rzuciły się do ucieczki, skacząc jedne przez drugie, włażąc na drzewa, i mknąc wszystkie w kierunku rzeki. Podążyłem za nimi nie śpiesząc się zbytnio i bez żadnych agresywnych zamiarów.

Dopadły wody i stanęły jak na komendę, zbite w jedną gromadę, pokrzykując żałośnie, i rzucając wkrąg przerażone spojrzenia. Do mostu, o którym musiały wiedzieć, był spory kawał; przytem rzeka tworzyła tu podkowę, u końca której stałem ja, zamykając im odwrót. Ciekaw byłem jak sobie poradzą. Ciekawość swą zaspokoiłem bardzo prędko.

Jedna z małp, wielkości średniego psa, o jasno brunatnem futerku, oddzieliwszy się od grona współtowarzyszy skoczyła ku stojącemu tuż nad wodą drzewu. Wlazła nań tak szybko, iż zdawało się że ma skrzydła i leci. Z głównego pnia przedostała się na duży konar poziomo wyciągnięty nad rzeką. Tam, rozbujała się w powietrzu niby wahadło olbrzymiego zegara, i jak duża piłka przeleciawszy ponad wodą chwyciła łapami nową gałąź, a po chwili szczerzyła już do mnie zęby z drugiego brzegu.

Dobry przykład podziałał piorunująco na strapione towarzystwo. Małpy, jedne po drugich właziły na drzewo i przelatywały na drugą stronę; małe małpiątka odbywały napowietrzną podróż siedząc okrakiem na plecach matek i kurczowo trzymając się ich łapkami. Było przytem trochę pisku i zamieszania, ale nie zdarzył się ani jeden nieszczęśliwy wypadek.

Małp było dużo, to też przeprawa ich odbywała się tylokrotnie, że uwaga moja narazie skupiona w jednym punkcie wkrótce jęła się rozpraszać. Instynktownie rzucałem czasami spojrzenia na boki, lub poza siebie, bowiem będąc w Afrykańskiej puszczy, nie należy zapominać, że zaludniają ją stworzenia niezawsze pokojowo usposobione. Naraz drgnąłem, a potem zamarłem bez ruchu, oszołomiony i pełen zdumienia.

Na prawo odemnie, pomiędzy dwoma gąszczami drzew i krzewów leżała niewielka polana. Przed chwilą jeszcze była pusta zupełnie, i tylko słońce znaczyło pośród jej traw dziwaczne wzory; teraz zaś mknęła po niej szybko a bezszelestnie niesamowita jakaś postać. Była wzrostu wysokiego mężczyzny, pokryta rudawym, rzadkim włosem od stóp do głów. Kształtów ludzkich, o dużej głowie, barczystych ramionach, olbrzymich dłoniach zaciśniętych w pięście i zwisających do kolan niemal, i o żylastych pałąkowatych nogach. Ani cienia jakiegokolwiek ubrania, ozdób, lub broni. Chód szybki a lekki; ciało nieco pochylone naprzód, niby gotowe do olbrzymiego skoku.

Twarzy nie widziałem; człowiek, czy zwierz, bo po dziś dzień nie wiem jak mam go nazwać zwracał głowę w innym kierunku. Nim oprzytomniawszy ze zdumienia zdążyłem wykonać jakikolwiek ruch, zginął mi z oczu w gąszczu leśnym.

Pobiegłem za nim. Nogi mam dobre; wzrok wówczas jeszcze służył mi znakomicie, jednak najskrupulatniejsze badania nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Niejasne odciski stóp, ni to ludzkich, ni to małpich, na bujnej trawie polany, były równie tajemnicze jak ten co je pozostawił. Las milczał, jak zaklęty, i żaden cień nie sunął pośród jego pni. Zagadka puszczy Afrykańskiej nazawsze pozostała dla mnie zagadką.

Goryli i orangutangów w tej okolicy Abisynji nikt nigdy nie widział, a innych tak olbrzymich małp wogóle w Afryce niema; więc był to albo cudem zabłąkany goryl lub orangutang, albo „człowiek leśny" ów, ni to ludzki, ni to zwierzęcy twór, zamieszkujący po dziś dzień, jak twierdzą niektórzy podróżni, czeluście czarnego lądu.

Mając głowę wciąż jeszcze zaprzątniętą tajemniczem zjawiskiem powróciłem [nad brzeg Uebi; małpy, rozsiadłszy się na drugim brzegu pośród gałęzi drzew, powitały mię gremjalnym wrzaskiem. Oddzielone odemnie całą szerokością rzecznego koryta, czuły się najzupełniej bezpiecznie. Nie wszystkie nawet zwracały na mnie uwagę. Jedna pożywiała się solidnie, gryząc z wielkim apetytem jakiś oburącz trzymany smakołyk, owoc, lub korzeń jadalny. Inna polowała na dokuczliwe insekty, pracowicie nurzając palce we własnem futerku Inna jeszcze... Ale, cóż się jej stało?!

Siedziała na nizkiej gałęzi, tuż nad ziemią prawie, skulona i tak drżąca, że liście wkoło niej chwiały się, jak poruszane wiatrem. Łebek naprzód wysunięty, ząbki wyszczerzone niby w śmiertelnym

skurczu, i oczy utkwione w jeden punkt, pełne nieopisancj grozy.

Poszedłem oczyma w kierunku jej wzroku; leżał tam duży głaz, porosły nieco mchem i osypany plamami słońca. Narazie nie dojrzałem nic więcej. Ale po chwili poruszyło się coś w trawie pomiędzy kamieniem a małpką i wówczas doznałem wrażenia, że zdarto mi z oczu łuskę. Zobaczyłem i zrozumiałem wszystko.

Wokół kamienia, owinięte kilkakrotnie spoczywało cielsko węża, olbrzyma z gatunku boa, a łeb jego sunął w trawie falistym ruchem, lśniąc dwojgiem oczu tak zimnych, jak bryłki lodu. Nie śpieszył się wcale; widać był pewien, że zdobycz mu nie umknie. Istotnie, małpka nie próbowała nawet ucieczki. Nerwowe drżenie: ostatni odruch samoobrony, ustało, i robiła wrażenie martwej.

Spojrzałem w kierunku reszty małp: zdawały się nic nie wiedzieć o niebezpieczeństwie grożącem ich towarzyszce. Jedna tylko, ta, która posilała się poprzednio, przestała jeść i rozglądała się wkoło podskakując zabawnie. Naraz, zobaczyła węża. Nie wiem, czy ofiara, którą sobie boa upatrzył była jej dzieckiem, czy też przemówiła w niej rasowa solidarność, dość że zerwała się z miejsca i jak strzała skoczyła na ratunek. Dopadła małej małpki i wrzasnęła tuż przy niej przeraźliwym głosem raz i drugi. Biedne małpiątko oprzytomniało. Skok, który zrobiło wnet potem wprawił mnie w zdumienie. Jak ptak wleciało na szczyt drzewa, stamtąd przemknęło na sąsiednią palmę i znikło w lesie. Całe stado poszło za tym przykładem. Gałęzie porzucone tak nagle drżały jeszcze czas jakiś, a sieć słoneczna u stóp drzew falowała złociście.

Po ucieczce małp, boa leżał czas jakiś nieruchomo; po chwili jednak jął cofać swój potworny łeb, owinął się jeszcze dwukrotnie wokół głazu i zastygł w sennym bezwładzie. Czekał cierpliwie, na nową ofiarę, zapewne.

Powoli, by go nie spłoszyć, przyłożyłem broń do ramienia. Oddzielała go odemnie cała szerokość rzeki, oraz skrawek lądu, pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów ogółem. Wziąłem na cel te zwoje śród których przeglądał łeb, i strzeliłem z obu luf kulami dum-dum. Skutek był piorunujący. Straszliwe cielsko uniosło się w powietrze, a potem zakotłowało w trawie, bijąc o ziemię z niewiarygodną siłą. Jednak widać strzał nie był dość celny, bowiem po chwili wąż rzucił się ku pobliskim zaroślom i zniknął pośród nich. Na kamieniu jednak, widoczna z daleka, pozostała duża krwawa plama.

Tymczasem słońce przebiegłszy swój zwykły szlak zniżało się ku zachodowi. Brzegiem rzeki dotarłem do mostu, a mostem, do drugiego brzegu. Na polance, w pobliżu wody Ali i Musu, lśniąc od potu znosili suche gałęzie i rozpalali ognisko. W koszyku złożonym wraz z pledem i poduszką u stóp drzewa czekał mój posiłek wieczorny. Była tam herbata i cukier, chleb i duży kawał pieczeni z antylopy.

Słońce rzucało jeszcze pożegnalny blask, gdy ogień już zapłonął. Herbata, a raczej woda na herbatę, zagotowała się wmig. Popijałem zwolna gorący napój, podczas gdy czarni rozkładali moją pościel. Złożyli mi potem życzenia dobrej nocy, i usnęli w jednej chwili, zwinąwszy się na ziemi jak ciemne kłębki, pod osłoną wełnianych koców.

Pomimo, że i mnie także sen morzył, nie zaraz jeszcze poszedłem za ich przykładem. Wypadki ubiegłego dnia krążyły mi po głowie niecąc szereg wspomnień. Jedno z nich, niezwykle ponure, pozwolę sobie tu przytoczyć. Było to opowiadanie pewnego oficera, które słyszałem w Dire-Dana.

W Dire-Dana, miasteczku abisyńskiem, leżącem o parę godzin jazdy koleją od Dżibuti, mieszkał pewien młody francuz, inżynier, zapalony myśliwy. Ulubionem miejscem jego wycieczek łowieckich, były obfitujące w zwierzynę, niezbyt od miasta oddalone, podnórza skalistych gór. W górach tych całemi stadami gnieżdżą się pawjany, duże małpy z kształtu łba do psów podobne. Są one bardzo solidarne, silne i złe, i jakkolwiek pierwsze zazwyczaj żadnych stworzeń nie atakają, to jednak zaczepione, lub wyzwane do walki bronią się zajadle.

Na parę tygodni przed naszym przyjazdem do Dire Dana, młody francuz wyruszył na łowy, jak zwykle. Towarzyszył mu ulubiony wyżeł. Pod wieczór, gdy koledzy inżyniera jęli się już dziwić jego długiej nieobecności, pies powrócił trochę pokrwawiony, i—sam. Natychmiast osiodłano konie i ruszono na poszukiwania. Wyżeł prowadził. Przebiegł zamiejską równinę, potem porosłe lasem płaskowzgórze, i ze zjeżoną na karku szerścią, i wyszczerzonemi zębami, jął się piąć na skalną ścieżkę. Ludzie, pozostawiwszy konie w bezpiecznem miejscu, z bronią gotową do strzału szli za nim. Doprowadził ich do kupy kamieni i tam stanął wyjąc ponuro. Kamienie rozrzucono kolbami strzelb. Pod nimi, zmasakrowany tak okropnie, że poznano go tylko po ubraniu, leżał trup inżyniera. W dłoni trzymał jeszcze strzelbę, w lufach której były dwie wystrzelone gilzy. Opodal zwisał ze skały pawjan, z przestrzeloną dwoma kulami piersią — martwy.

(d. c. n.)

Bronisław Gordzialkowski.

B I A Ł Y.

(Opowieść).

2

Jezioro leżało spowite w białe, delikatne tumany mgieł.

Słońce przedarło je, wiatr powiał...

Lustrzana niebieska tafla: na maleńkich falach igrają słońcem zapalone iskry.

Krzyczy nur gdzieś w oddali. Świszcząc skrzydłami przeleciało stado kaczek.

A na niebie złote, fioletem obrąbione chmurki. Na jasno-niebieskiem niebie... I słońce.

Poiły się sarny, chlupocąc, pluskając w płytkiej od brzegu, przezroczystej wodzie. Prychały czarne, lśniące chrapki. Chleptały wodę różowe, delikatne, nieco szorstkie w dotknięciu, języczki.

Poranną tualetę czyniły wodne ptaki: nury-perkozy, kaczki i łyski czarne, t: pląjąc się w trzcinach pokrywających dalej brzeg, muskając skrzydła dziobem, i z radosnem trzepotaniem skrzydeł podnosząc się na wodzie.

Rzeźwo było.

Las już się obudził. Ćwierkały, gwizdały ptaki, leśne śpiewaki. Wiewiórki cmokały na sosnach wysoko, uganiały się po nich z hałasem. Zwierz wszelki wracał w ostoje...

Nad polem cicho szumiącem, w błękicie wisiał skowronek i świergotał. Gdzieś nad zagajnikami jastrząb kwilił.

Raźno pogwizdując wychodził człowiek w pole z brzęczącą kosą. Rżały konie...

Był żniw dzień pierwszy... Wyganiać przyszedł z pola w las zwierzynę. Ostawić puste, ciche ścierniska...

Zanosiło się znowu na upał.

II.

Zbliżał się czas sarnich godów.

Były ruchliwsze znacznie, niespokojne... Kozły dnie całe włóczyły się po lasach, szukając towarzyszki. Nie spały, mało jadły, — ruch był w gąszczach ogromny, jakiś niezwykły. W południe pasły się sarny na polach leśnych, rogacze nieostrożne były i łatwo dawały się podejść, stojąc w dzień jasny na drodze, lub na łące zadumane, zapatrzone. Można je było też spotkać w lesie, pędzące gdzieś samopas.

I goniły się często, niemały rozhowor czyniąc po polanach, a nawet w zagajnikach.

Rano i wieczorem rozbrzmiewało krótkie urywane beczenie — jakby szczek ochrypły... to kozioł rywala wzywał — a może wabił tylko kozy do siebie.

Młode, niewyrośnięte jeszcze widłaki, spiczaki nawet — próżno zalecały się sarnom pięknym... Sromotnie bywały odegnane, bo cóż za przyjemność małżeństwo z takiemi niedorostkami?

Powodzenie miały jedynie mocne, potężne rogacze.

Co się jednak stało dnia pewnego?

Widać w szalonym pędzie, jakby gonione sarny, — które biegają po lesie, po drągowinach, zagajnikach...

Las cały w niepokoju.

Spotykając jedna drugą porozumiewają się prędko i wnet razem już sadzą przez zarośla, mkną przesmykami im tylko znanemi.

Co się stało?

Na polanie, gęstą trawą pokrytej stoi — biały kozioł!

O dziwo...

Suknia jego jest białości niepokalanej, chrapy i świece czarnemi się znaczą punktami, a między łyżkami szerokie, ogromne parostki,

Rozgląda się.

On — powoduje sarny do szalonej gonitwy po lesie.

On — las cały poruszył...

On — piękny. On — rywal groźny.

Zbiegają się kozy, żeby go podziwiać.

Pragnęłaby każda mieć go dla siebie, ale wstrzymać się nie może, żeby spotkawszy towarzyszkę nie podzielić się z nią nadzwyczajną wiadomością o zjawieniu się kozła cudnego.

I Ruda przybyła... Patrzy i podziwia. I serce jej bije mocno, mocno.

Miejscowym kozłom nie podoba się to zupełnie. Odkąd pojawił się obcy przybysz, już nie mają powodzenia. Kozy na nie zupełnie nie patrzą — a o przyjęciu mowy wcale nie ma.

Ów najmocniejszy postanawia wyzwać rywala na bój. Niech walka zadecyduje o tem, kto panem ma być. W swoje prawa bezkarnie wkroczyć nie pozwoli. Oto stanął dufny, świadom swej siły na polanie i krótkiem, urywanem bekaniem wzywa i grozi.

Czy tamten posłyszy — czy przyjmie wezwanie?

Oto drgnął Biały, łyżki rozstawił i słucha.

Z miejsca ruszył i odpowiadając, w kierunku głosu ciągnie.

Spotkali się na leśnej polanie. Krwawo plac oświecało zachodzące słońce. Miejscowy gniewnym tupaniem swoją złość i niezadowolenie okazywał Biały przypatrywał mu się spokojnie — aż lżenia dość mając, gdy krew w nim zagrała, pochyliwszy łeb, z miejsca ruszył...

Trzasnęły sucho zderzone parostki. Rozczepiają się, znów ku sobie biegną, uderzają.

Łopot, tupotanie, sapanie i stęki, trzask rogu o róg uderzanego. W pewnym momencie Biały bokiem trochę naciera, łeb odchyla, — parostki tamtego w próżnię trafiają, a szyja przebita zostaje!... Raz, drugi i trzeci, — błyskawicznie!!!

Purpurowa farba zostaje na odnogach parostków białego tryumfatora.

Tamten osuwa się na ziemię, — pokonany! Dogorywa najmocniejszy kozioł w rewirze.

Zwycięzca już go nie tyka. Stoi nad nim i straszy! Śpiewa pieśń chwały, szczęścia.

Upojony niem stoi tak, patrząc w zachodzącego słońca szkarłat, który krwawi jego suknię białą.

Zbliżają się do niego kozy... Zachwyciła je rycerskość i odwaga Białego — już o pięknie jego nie mówiąc. Odtąd on ich panem, przywódcą i stróżem. Ocierają się o niego miłośnie.

(*D. c. n.*).

Stanisław Bończa.



Staropolski pomnik literatury rybackiej.

(Przyczynek do historji rybołówstwa polskiego).

W drugiej połowie XVI wieku ze wzrostem życia ziemiańskiego w Polsce zaczęła się rozwijać równorzędnie literatura, dotycząca łowiectwa i rybołówstwa.

Mam zamiar w paru słowach choćby przypomnieć czytelnikom utwór Olbrychta Strumieńskiego: „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów", pochodzący z 1573 r., a przedrukowany i zaopatrzony przedmową i przypisami przez Feliksa Kucharzewskiego w r. 1897.

Książka ta będąca wzorem „Opisania porządku stawowego" Strojnowskiego została wkrótce zapomnianą.

A jednak, dzięki prostocie i gruntowności z jaką autor podaje wyniki własnej obserwacji, dzieło Strumieńskiego jest najwybitniejszą pracą w zakresie piscikultury w europejskiem piśmiennictwie XVI stulecia.

Niesposób choćby pobieżnie streszczać je. Zatrzymam się tylko na rozdziałach traktujących „O narybieniu i o mnożeniu ryb w stawiech wszelakich".

Pierwszy ustęp mówi nam o karpiach. Na tarlisko radzi obierać Strumieński małe płytkie stawy: „Na tarcie karpie obieraj nie wielkie a nie stare też... A przedtym, niźli je będziesz miał na tarcie wsadzić do stawku, chowaj je dwie albo trzy niedziele w jakiej cieśni. A potym wybrawszy je, puszczaj im w pępek i w gębę kąsek soli, puszczajże je w imiono Boże na tarło, a uźrzysz, żeć się wnet zaraz poczną trzeć... A to puszczanie na tarcie ma być po pełniej w maju, albo kiedy już bywają nawiętsze ciepła czerwca... A kiedy sie już wytrą, pilnujże, abyć kaczki albo świnie po onym stawku nie chodziły i inszych ryb, by najmniejszej, żeby tam nie było: albowiem wyjadują do kęsa ikrę karpiową". Na zimę radzi autor przenieść małe karpięta do większej sadzawki o twardym dnie z dołem pełnym chróstu we środku. Karpięta „się w onym dole na zimę położą i nie ruszą się z niego aż zasię na wiosnę, kiedy ciepło uderzy. Albowiem karp w zimie nie chodzi, nie pasie sie też, jeno sie położą wybiwszy sobie doły, jako kotliny, tamże leżą w dolech i żywią się ziemią". Na wiosnę przewieść należy karpięta do większych stawów na odrost. „Która ziemia dobrze zboże

rodzi, na takiej też ziemi w stawie dobrze ryby rosną. Który staw jest na piasku już na to miej baczność, żebyś mniej weń wsadził, niż w ów, co na dobrym gruncie".

Następny ustęp mówi nam „o karasiach". Z karasiami należy postępować w ten sam sposób, co z karpiami: „tak sie oni mnożą jako i karpie, i tam sie rady chowają, kędy i karpie".

Ostatni rozdział traktuje „o narybieniu i innych ryb wszelakich".

Najpierw mowa o szczupaku: „szczukami, jako raz nimi narybisz, tedy sie ony pospolicie rady trą i kiedy się trafi na spuście, tedy z stawu wielkie szczuki wybieraj, a młode w stawie zostawuj, coby były na piędź, między głową a między ogonem, tedy ich już nigdy nie przebierzesz. A jeśliby sie też w stawie nie chciały dobrze mnożyć, tedy by je musiał sadzić; aleć to rzadka, aby się szczuka nie miała w stawie trzeć. To też rozumiej o okoniu, o płocicy, o okliej, bo to są własne ryby stawowe. Ale co sie dotycze kleszcza [1]), klenia, jeśliżeby ich nie było w tej rzece, na której staw jest, a chciałbyś je w stawie mieć, tedybyś ich indziej musiał dostawać, a w staw je wsadzać. Wszakże kiedy się ony raz wytrą w stawie, potym ich na spuście nie przebierzesz. A zwłaszcza kleszcze, kiedy się im woda upodoba i dno dobre, tedy sie ich tak wiele natrze, że je potym musisz z stawu pustoszyć..."

O linie pisze Strumieński: „Lin, ten tyż tym sposobem żywie jako i karp, a wszakże, kiedy ich wsadzisz do stawu kilka kóp, a trafi się im w stawie błoto, tedy je trudno wygubić, będzie ich zawsze dosyć. A iści jest ryba jakoby wzgardzona, ale przedsię niezły, kiedy tłusty, stoi na karpia, uwarzywszy go w czarną juchę, a jeszcze lepszy, kiedy go czyście nadzieje i upiecze. Insze ryby sadzałem sam dosyć do stawu, certy, łososie, pstrągi etc.; iż to ryba nie stawowa, tedy też w stawie trwać nie chce. Wszakże ze wszystkich inszych tedy pstrąg rychlej trwa, bo także rybą żywie, jako szczuka i okuni.

Węgorz jeśliże jest w rzece bądź w tej, co przez staw idzie, bądź w tej, co podle stawu, tedy ich bywa dosyć w stawie. A jeśli ich w tych rzekach niemasz, jakom tu pisał, abyś ich [też sadził nie wiedzieć co do stawu, tedy każdy wylezie, a to dlatego, że mu sie w onej rzece woda nie podoba".

O sumie opowiada Strumieński: „Wsadziłem też był jednego czasu suma do stawu, a był w stawie trzy lata; a kiedym go wsadził do stawu był na łokieć. A kiedym staw spuszczał, urósł tak wielki, że był dłuższy niż na trzy łokcie; a był tak tłusty, że plusku [1]) jego przed tłustością nie mógł upiec. Sam był tak tłusty, że na nim tłustość była na dwa palce, kiedy go warzono. Ale nie stało za nasze, nie dostało nam karpi w stawie przez dwadzieścia kop, w czem dawano winę onemu sumowi, że je on pojadł; i były tego znaki: rąbiąc go naleziono w nim w ksieńcu [2]) trzy karpie... A tak, ktoby tego chciał sprobować, a tłustego sumu jeść, wsadź ich kilka do stawu, w ten czas kiedy piątniki [3]) sadzisz, ujrzysz czasu łowienia stawu dziurę w rybach. Wszakże sie będziesz miał czym cieszyć, że tłustego sumu będziesz jadł". *J. E.*



Jesiotr wagi 2 pudy 5 funtów, złapany na Prypeci w Ordynacji Dawidgródeckiej w roku 1923 u ks. Karola Radziwiłła.

---

[1]) Leszcz.

[1]) Część ryby od ogona.

[1]) Żołądek.

[2]) Piątniki = stopniki, ryby na stopę długie.